

Najważniejszy (według mnie) problem edukacji

W 108. numerze „PAUzy Akademickiej” znalazły się dwa teksty dotyczące edukacji. Niestety, nazwania, według mnie, najważniejszego problemu nie znalazłem. Spróbuj go więc przedstawić.

Z konieczności przyglądając się od kilkudziesięciu lat polskiej edukacji i jej kolejnym reformom zauważyłem, że każda próba reformy przebiega tak samo. Z gruntu rozsądne i obiecujące zasady, następnie kilka – wydawałoby się – kosmetycznych poprawek, powodujących jednak kompletną klępkę reformy i zawsze identyczne uzasadnienie tej klapy. Oczywiście braki finansowania. Jeżeli jednak ma się taką pechową własność, jak dobra pamięć, trudno nie zauważyć, że poziom finansowania zwykle wzrasta i to często wcale niemało. Sugeruje to, że nie mizeria finansowa, a owe subtelne poprawki skutecznie likwidują skutki nie najgorzej pomyślanych reform. O tym, że finanse szkolnictwa są niezłe, dobitnie świadczą pojawiające się co chwilę, absurdalnie kosztowne, a rokujące bardzo umiarkowane nadzieje na poprawę kształcenia, pomysły typu „sześciolatki do szkół”¹. Aktualnie, przy zupełne przyzwoitym poziomie finansowania, mamy najgorszy w historii poziom kształcenia, dodatkowo z wyraźną tendencją spadkową. Wydaje się więc, że narzekania na trudności finansowe mają na celu odwrócenie uwagi od rzeczywistych przyczyn zaistniałego stanu; warto zauważyć – bardzo skutecznego odwrócenia uwagi – nie ma człowieka nie odczuwającego braków finansowych, więc i nie ma nikogo, kto nie byłby skłonny uwierzyć w finansowe przyczyny wszelakich nie-szczęść².

Co więc jest przyczyną małej efektywności reform oświatowych? Jak się wydaje, wspomniany w tekście pani dr Z. Gołąb-Meyer opór społeczny. Warto dodać – uzasadniony (a więc godny wzięcia pod uwagę!). W praktyce każdy człowiek jest głęboko zainteresowany ograniczeniem kształcenia własnego i, co nie mniej ważne, własnych dzieci. Po prostu nauka w sensie „uczenie się” jest ciężką pracą, a wszelkie opowieści o „przyjemności uczenia się” są dość tanim chwytem dydaktycznym. Dlatego nawet najlepiej wykształceni z umiarkowanym entu-

zjazmem podchodzą do perspektywy konieczności rywalizacji z jeszcze lepiej wykształconymi. Dla przeciętnego człowieka myśl o ustawicznym dokształcaniu się jest po prostu koszmarem. Nauczyciele nie są tu wyjątkiem, a jeżeli już, to raczej w tę drugą stronę, bo powszechnie znany jest fakt „negatywnej selekcji” do tego zawodu. Przy okazji warto zauważyć – będącej raczej skutkiem braku wymagań samokształceniowych w tym zawodzie, niż „naturalnej” niskiej jakości kandydatów do tego zawodu. Dobrego wykształcenia wymagamy, i owszem, ale od innych – denerwują nas braki fachowości u wszystkich, z którymi się stykamy (urzędnicy, lekarze, nauczyciele – w miejsce kropek wstawić ... wszystkie zawody, z wyjątkiem naszego!). Ale na tę fachowość innych już tak wielkiego wpływu nie mamy. W praktyce jesteśmy skłonni włożyć znacznie więcej wysiłku w uniknięcie kształcenia nas samych i naszego środowiska, niż w przymuszenie do kształcenia innych. Dlatego też i skutki nacisków na podwyższanie kwalifikacji są umiarkowane.

Wracając do edukacji, właśnie stąd te subtelne korekty z gruntu rozsądnych reform. Środowiska potrafią być wyjątkowo bystre i bezwzględne w realizowaniu swoich celów – pojedynczy człowiek nie przemyśli aż tak dokładnie wszystkich negatywnych skutków i sposobów przeciwdziałania im, jak całe środowisko. Dlatego planując reformy edukacyjne, a nawet tylko zastanawiając się nad nimi, w pierwszym rzędzie należy wziąć pod uwagę możliwości środowisk, których interesy przez te reformy zostaną naruszone. I trzeba jasno wskazać środowisko, którego interes jest z tego punktu widzenia najważniejszy. W państwie demokratycznym tym środowiskiem są partie polityczne. Po prostu – reforma podwyższająca wymagania od uczniów zostanie przez rodziców i dziadków tak źle przyjęta, że partia polityczna proponująca taką reformę zniknie z życia politycznego, w najlepszym razie przechodząc do opozycji i bezsilnie przyglądając się, jak reforma edukacyjna jest reformowana. I ta konstatacja powinna być punktem startowym do wszelkich rozważań o reformach szkolnych. Projektując zmiany w systemie edukacyjnym, należy przede wszystkim uwzględnić interesy polityków, czyli w praktyce tak sformułować założenia reformy, aby zwiększony wysiłek nie dotknął zbyt szerokich kręgów społecznych, a straty związane z gorszym kształceniem pewnych kręgów ... tych kręgów nie dotknęły³, a przynajmniej nie przełożyły się na preferencje wyborcze. I przy projektowaniu nie warto zbyt przejmować się finansami. W praktyce kształcenie na najwyższym poziomie jest i tańsze, i łatwiejsze od uczenia na niskim poziomie. W skrajnym przypadku wystarczy bowiem jedynie zadać i sprawdzić, kto się nauczył, a kogo skierować na niższy poziom kształcenia.

JERZY KUCZYŃSKI

¹ Jest zupełnie oczywiste, że o skutkach **każdej** działalności decyduje jej ostatni etap. Tak więc, nawet gdy uzyskamy w nauce początkowym genialne dzieci, to jeżeli zostaną one zmarnowane w dalszych etapach kształcenia, to co najwyżej uzyskamy „genialnych frustratów”. Dlatego reformy edukacyjne należy zacząć od końcowych etapów kształcenia. Nie bez znaczenia jest i to, że w przypadku zaczercia od sześciolatek, pierwsze efekty będą za ćwierć wieku z okładem, a zaczynając od wyższej uczelni, już po kilku latach będzie wiadomo, co ewentualnie trzeba poprawić. Nie sposób jednak nie zauważyć, że reformowanie „od przedszkola” jest bezpieczniejsze – kiedy będzie już wiadomo, co z reformy wynikało, będziemy już dawno na zasłużonej emeryturze.

² Warto jednak zrobić „eksperyment myślowy” i zastanowić się, o ile dałoby się poprawić kształcenie przy posiadaniu jakiejś szalonej sumy pieniędzy, typu podwojenia budżetu edukacji. Chyba bez trudu zauważymy, że mimo zrobienia za te pieniądze wielu pożytecznych rzeczy, zasadniczych zmian za same pieniądze się nie zrobi. Nie trudno nawet zauważyć, że wzrost nakładów na niektóre rodzaje działalności edukacyjnej, może – i to znacznie – pogorszyć jakość kształcenia.

³ I tu pojawiają się niemałe koszty. Kształcenie niechętnych nauce jest kosztowne, bo trzeba to robić „prośbą, groźbą i sposobem”. W praktyce każde kształcenie o charakterze świadczenia socjalnego jest horrendalnie kosztowne, ale trzeba je zaplanować, bo inaczej, stanowiące nawet spore oszczędności zmiany, prowadzące do dobrego wykształcenia wąskich kręgów, zostaną tak lub inaczej „unieszkodliwione”.